

Kradnij zagrabione

Ludzie odpowiedzialni w państwie za sprawy gospodarcze, ekonomiczne, finansowe, ale także dziennikarze zajmujący się na co dzień tymi tematami, powinni przejść wcześniej jakąś praktykę w realnym biznesie. Najlepiej w roli szefa małej spółki albo jako tzw. osoba fizyczna zarejestrowana w ewidencji działalności gospodarczej. Byłoby zupełnie inaczej, gdyby znany komunistyczny profesor, minister, reformator socjalizmu wprowadzający nas w wolny rynek sprawdził się wcześniej chociaż jako właściciel i sprzedawca w budce z lodami. „Biznesmenów” zarejestrowanych w Polsce na podstawie wpisu do ewidencji jest ponad 2 miliony. To oni mają największą wiedzę o tym jak funkcjonuje administracja państwowa, samorządowa, organy podatkowe, ale nikt ich nie słucha. Nie mają własnej reprezentacji. Dla „małych” gęste sito kontroli i wszelakich procedur wręcz wyklucza możliwość nieuczciwego bogacenia się, tylko że przy okazji utrudnia i komplikuje prowadzenie biznesu. Jeżeli zatem niektórym udaje się oszukać fiskusa, wzbogacić się na lewych interesach, to tylko dzięki przyzwoleniu władzy, czyli korupcji urzędników. Problem więc w etyce.

Działający w biznesie na własną rękę, dysponuje osobistym majątkiem, który musi nie tylko chronić, ale w miarę możliwości powiększać, bo własność to wolność i odwrotnie. Niektórzy uważają, że o ile jest możliwe istnienie własności bez wolności, to już nie ma mowy o prawdziwej wolności bez

własności. A taka jest w zasadzie sytuacja w Polsce. Po 1989 roku zaprzepaściliśmy szansę upowszechnienia i powiększania własności wśród własnych obywateli, nie dopuszczając do reprivatyzacji i rozkradając majątek narodowy pomiędzy nomenklaturowe złodziejskie sitwy, które wcześniej nim partyjnie zarządzały. Nie wytworzyła się dostatecznie silna średnia klasa społeczna dysponująca własnym kapitałem, tak jak ma to miejsce w krajach zachodnich, która mogłaby odgrywać ważną, podmiotową rolę w przemianach gospodarczych. Mamy zaś gospodarczą oligarchię dysponującą miliardami kapitału. Podobnie jest we wszystkich postsowieckich krajach.

Z badań na grupie 1000 osób, przeprowadzonych przez firmę Future Laboratory, wynika, że zarobkami powyżej 55 tys. zł rocznie może wykazać się 4% podatników, a tylko 1% zarobkami powyżej 85 tysięcy złotych. Dokładne dane posiada Ministerstwo Finansów zliczające co roku podatki dochodowe od obywateli, tym nie mniej taka jest dziś tendencja, typowa zresztą dla współczesnego świata, w którym bogaci stają się jeszcze bogatsi, a biedni stale pozostają biednymi. O ile ceniony jest dorobek ludzi jako efekt ich własnej przedsiębiorczości i dodajmy uporczywość ponad ich siły, to majątek ludzi nietworzących dochodu narodowego, żyjących z sektora publicznego, tzw. „renty władzy” budzi wciąż wątpliwości.

Majątkowe oświadczenia podatkowe prezydentów miast, a więc urzędników państwowych, to ciekawy ranking. Na pierwszym miejscu z majątkiem 5.2 mln zł uplasował się związany od wielu

lat z lewicą prezydent Krakowa Jacek Majchrowski, tuż za nim Hanna Gronkiewicz-Waltz z Platformy Obywatelskiej z majątkiem 5 mln zł oraz prezydent Gdańska Paweł Adamowicz (także z PO), z majątkiem 3.5 mln zł. Najuboższym prezydentem jest Wojciech Szczurek z Gdyni, z majątkiem zaledwie 200 tysięcy złotych plus mieszkanie.

Powszechne zatem przekonanie, że najlepszą drogą do takiej wolności, która zapewnia pomnażanie własnego majątku jest państwowa czy samorządowa posada, nie do końca jest prawdziwe, ale niekiedy uzasadnione. Ujawnione ostatnio przykłady żerowania na spółkach skarbu państwa to przykład gangsterskiego łupu politycznego, który przypada zwycięskiej partii, jej członkom i całej ich progeniturze. Coś trzeba z tym zrobić, mówią liberałowie i dodają - prywatyzować, a problem zniknie. Innego pomysłu nie mają, bo nigdy nie chcieli go mieć. Przyzwyczaili się, że zagrabione najlepiej się kradnie, tym bardziej, że było się już „właścicielem”, np. resortu skarbu państwa.

Wojciech Reszczyński

297Nasz Dziennik 26.07.12